



STARCRRAFT[®]
HEART OF THE SWARM



Lotniskowiec

Michael Kogge

„Koramund” – protosi nazwali lotniskowiec „wielkim cudem” w tej klasie okrętów. Dla Iaalu, trzeciego inżyniera pokładowego, nie istniała lepsza nazwa. Krzywizny statku robiły niezaprzeczalnie eleganckie wrażenie, opływowe płyty kadłuba zostały wykute przez khalaickich rzemieślników i zdaniem Iaalu przywoływały na myśl wzgórze Shreka na północy Aiur. Do tego dochodziła wyjątkowa iskra w łączach zasilających, która wbrew wszelkim racjonalnym wyjaśnieniom podnosiła wydajność głównych systemów, szczególnie, gdy trzeba było stawiać czoła niezwykłym wyzwaniom. Iaalu szczylił się tym, że hangary i hale fabryczne, które nadzorował, wytwarzały najlepiej przystosowane do walki automatyczne myśliwce przechwytyjące we flocie protosów, które regularnie eliminowały dwa do trzech razy więcej wrogów niż przechwytywacze z innych lotniskowców.

Jednak tym, co sprawiało, że „Koramund” naprawdę zasługiwał na swoją nazwę, był prestiżowy rekord, do którego pobicia niewiele okrętów się choćby zbliżyło. Podczas stuleci służby, statek brał udział w założeniu większej liczby kolonii niż jakikolwiek inny od czasów „Eonu Konflikty” i pełnił funkcje centrum dowodzenia w niezliczonych bitwach. „Koramund” owiany był taką legendą, że wrogowie często uciekali, gdy tylko się zjawiał, w obawie przed jego przechwytywaczami. Kiedy znienawidzone zergi uderzyły na Aiur, sam Tassadar poprosił legendarny lotniskowiec o eskortę dla swojego okrętu. „Koramund” towarzyszył „Gantrithorowi” aż do chwalebnej śmierci bohatera. Nawet po pojawieniu się nowych, rzekomo bardziej skutecznych promieni otchłani, cześć z jaką protosi odnosili się do „Koramunda”, nie pozwoliła im na wyłączenie go z Wielkiej Flotylli i odesłanie na spoczynek, jak zrobili to z wieloma innymi lotniskowcami. Dla Iaalu i milionów innych protosów „Koramund” był niezłomnym symbolem tego, że tradycje i dziedzictwo Aiur nigdy nie przeminą.

Symbol ten znajdował się teraz w niebezpieczeństwie. „Koramund” spadał na planetę Vanass — na ogonie siedziały mu zergi, okrętowi groziła katastrofa, chyba że Iaalu zdoła naprawić silniki. I to szybko.

— Na Khasa, gdzie jesteś? — zapytała ostro Tenzaal, templariuszka, która

dowodziła inżynierami podczas bitwy. Jak zawsze już sam ton jej myśli sprawił, że Iaalu się wzdrygnął. Ułatwiłaby wszystkim życie, gdyby tylko tak nie podnosiła...

— Co takiego?

— Nic, templariuszko. – Iaalu musiał uważać, co myśli, komunikator psioniczny przy jego hełmie był ustawiony na największą czułość, aby ułatwić łączność w mentalnym zgiełku bitwy. – Obecnie jestem w tunelu dostępowym silnika, wspinam się na łącznik. Niedługo będę miał widok na koncentrator przekaźnikowy.

— Spiesz się! Osłony słabną i został nam jeden...

Okręt obrócił się i zatrzęsł od dwóch eksplozji. Iaalu chwycił się drabiny, żeby nie poszybować bezwładnie przy zerowej grawitacji. Syreny ryczały ogłaszając stan pełnej gotowości.

— Przechwytywacze stracone! Czerwie glewiowe na kadłubie, zergi infiltrują mostek...

Głos Tenzaal umilkł, jak odcięty psionicznym ostrzem.

— Templariuszko?

Poprawił komunikator. Kosmiczne zakłócenia czasami przerywały łączność. Ale wskaźnik w hełmie informował, że sygnał dociera bez zakłóceń.

Iaalu spróbował bezpośrednio sięgnąć umysłem, dobrze jednak wiedział, że przy jego słabych mocach psionicznych będzie to daremne. Należał do kasty khalaitów i brakowało mu przygotowania mentalnego do wyczuwania czegokolwiek, co nie znajdowało się blisko.

Trzeci inżynier do dowództwa na mostku, odbiór. Trzeci inżynier do dowództwa, odbiór...

Brak odpowiedzi. Nagle psioniczna agonia, tak silna, że zniszczyła kondensatory komunikatora, załapała umysł protosa bólem. Zaklinował nogę między stopniami drabinki, aby fala uderzeniowa nie zepchnęła go w dół tunelu.

Uhn dara ma'nakai; uhn dara ma'nakai — powtarzał sobie mantrę Khalani, której nauczył się dawno temu i która przynosiła mu otuchę w trudnych chwilach. — *Uhn dara ma'nakai. Nasza misja nie ma końca.* – Wiedział, że tylko tak mógł się uchronić przed szokiem mentalnym.

Uhn dara ma'nakai... Uhn dara ma'nakai. Stopniowo kakofonia ustąpiła i jego umysł ponownie się uspokoił, znów zaczął pracować na normalnych falach, a Iaalu mógł wreszcie zrozumieć, co właśnie zaszło.

Martwi. Wszyscy chyba zginęli. Pretorka. Dowództwo. Tenzaal. Zergi zapewne dostały się na mostek i zmasakrowały załogę. Nie było żadnego innego wyjaśnienia dla tak ogromnego skoku aktywności psionicznej. Żadnego innego wyjaśnienia dla cierpienia, które Iaalu poczuł. Głosy towarzyszy zostały wyrwane z Khali. Iaalu miał szczęście, że przetrwał ten ogrom cierpienia.

Rzeź nie powinna mieć miejsca. Dowództwo floty nakazało, aby „Koramund” udzielił wsparcia siłom protosów toczącym walkę z zergami. Ale w drodze na front okręt odebrał wezwanie o pomoc z kolonii na planecie Vanass, którą od dawna uważano za opuszczoną.

To był podstęp. Po wyjściu z nadprzestrzeni, „Koramund” znalazł się w samym środku roju zergów. Ucieczka nie wchodziła w grę. W kilka minut nie tylko zostały zniszczone kompensatory grawitacyjne, ale też w niewyjaśniony sposób zawiódł koncentrator przekąźnikowy silników, przez co statek był wystawiony na atak zergów. Iaalu i jego drużyna przystąpili do przygotowania przechwytywaczy, gdy skaziciele i mutaliski zergów bezlitośnie ostrzeliwały pokłady. Zginęła połowa załogi, wśród nich pierwszy i drugi inżynier.

Iaalu był kolejnym stopniem i na nim spoczął obowiązek naprawy silników. Tenzaal

kazała inżynierowi pospieszyć do tunelu dostępowego, a zadanie odpalenia przechwytywaczy „Koramunda” spadło na podwładnego, Sacopo. Nieważne, że Iaalu w najlepszym razie miał szczątkową wiedzę o macierzach krystalicznych i transmisji mocy. Żaden z pozostałych przy życiu inżynierów nie znał okrętu tak dobrze, jak on.

Uszkodzony komunikator psioniczny pogarszał tylko sytuację. Iaalu nie mógł nawiązać łączności z resztą załogi, o ile ktokolwiek jeszcze przeżył. Los „Koramunda” spoczywał teraz w rękach trzeciego inżyniera.

Iaalu oczyścił umysł z ostatnich ech agonii. Skupił się jedynie na tym, co mogło przyspieszyć jego dotarcie do macierzy przekaźnikowej: zaprzestał wspinalczki po drabinie i zaczął odbijać się od ścian tunelu w górę.

Nieważkość miała też swoje minusy. Jeden błąd lub nagły wstrząs i Iaalu poleciałby do tyłu. Musiał uważać.

Nieoczekiwanie pomogły mu zergi. Eksplozje, która wstrząsały kadłubem — podejrzewał, że to sprawka czerwi glewiovych — pchały go w odpowiednim kierunku. Zbliżywszy się do rozwidlenia, chwycił się oburącz drabiny, ostro skręcił ciało, odbił mocno nogami i jednym przelotem pokonał ostatni odcinek tunelu do kryształowej macierzy przekaźnikowej.

A raczej do miejsca, w którym powinna się znajdować.

Na końcu tunelu nie było światła. Brakowało błękitnej poświaty, nie został nawet ślad po kryształach. Tylko ciemność.

Niemożliwe. Pretorka Quordas powiedziała, że macierz będzie właśnie tutaj, i Iaalu nie miał powodu jej nie wierzyć. Była nie tylko dowódcą lotniskowca, ale również wielką templariuszką, zdolną wyczuć obecność tego, na co on, należący do kasty khalaitów, był ślepy. Khala obdarzyła ją darem widzenia niedostępnym Iaalu.

Dotarł do ściany koncentratora przekaźnikowego i złapał się poręczy, żeby siła uderzenia go nie odrzuciła. Od stóp do rąk ciało inżyniera rozciągnęło się, poczuł, jakby mięśnie jego ramion miały pęknąć. Ale nic takiego się nie stało i zdołał przyciągnąć się do koncentratora.

Gdy zatrzymał się bezpiecznie, włączył światła na hełmie, aby sprawdzić komponenty koncentratora. Czujniki ciśnienia mignęły, kiedy machnął przed nimi ręką. Doliczył się ośmiu kabli przekaźnikowych. Wyczuł pulsowanie w głównym łączy zasilającym, kiedy go dotknął — przewód odprowadzający kolektora połaskotał go lekko, co znaczyło, że jeszcze do niedawna działał. Wszystko było na miejscu i zdawało się sprawne, z jednym wyjątkiem: brakowało macierzy kryształowej, która miała łączyć przewody z głównym kablem zasilającym.

Czyżby pretorka Quordas się myliła?

Ukrył tę myśl głęboko, pierwszy raz ciesząc się, że jego komunikator psioniczny nie działa. Takie myśli równały się zdradzie. Musiał skupić się na aktualnym problemie. Taki był jego obowiązek jako inżyniera i khalaity.

Ocecił sytuację. Moc nie popłynie do silników bez specjalnie dostrojonej macierzy, jednak budowa nowej nie wchodziła w grę. Nie miał ani czasu, ani zdolności psionicznych niezbędnych do wyznaczenia kryształowych ścieżek. Mógł prowizorycznie podłączyć kable, odciąć dławiki psioniczne i zablokować przekaźniki na głównym przewodzie zasilającym, ale to zapewniłoby jedynie krótki przyrost energii, a potem całe urządzenie by się spaliło.

Nie. Potrzebował macierzy kryształowej. Jeśli chciał ocalić ukochanego „Koramunda” od rozbicia się na powierzchni Vanassa, potrzebował jej natychmiast. Ale gdzie przepadła? Gdyby kryształ się potłukł, Iaalu znalazłby odłamki. Gdyby z kolei został zabrany, to odczyt dziennika pokładowego okrętu na wizjerze hełmu wykazałby, że ktoś korzystał z włazu wejściowego.

Chyba, że ktoś — lub coś — dostał się do tunelu inną drogą.

Inżynier skierował światła na tunel. Wzdłuż całej ściany nie widać było niczego poza drabiną. Przeskanował w poszukiwaniu źródeł ciepła lub oznak życia. Znowu nic....

Nagle na jego holowizjerze mignął czerwony punkt, wskazując na ruch w górze. Iaalu odwrócił się i cofnął, gdy śliniaca się, najeżona ostrymi zębami paszcza kłapnęła głośno. Ostre światła uratowały mu życie; oślepiiony napastnik cofnął się, piszcząc i sycząc.

Widział ten gatunek zergów niezliczoną ilość razy podczas okresu przygotowawczego, ale z bliska mutalisk był nieskończenie bardziej przerażający. Wynaturzone plugastwo najeżone zębami i szponami, miało dwie pary skórzastych skrzydeł i osiem ohydnych oczu, które płonęły wściekle na pomarańczowo-czerwono. Wężowy, pokryty łuskami i kolcami odwłok kończył się kolejnym otworem pełnym kolczastych kłów. Była to kloaka stwora. Z ociekającego śluzem otworu wyleciała wijąca się, kolczasta masa — czerw glewiowy.

Iaalu zanurkował. Czerw trafił w ścianę za protosem. Siła eksplozji pchnęła inżyniera w przeciwnym kierunku. Próbował chwycić się czegoś, aby powstrzymać lot. Nie złapawszy drabiny, chwycił się jedynej rzeczy, którą miał na wyciągnięcie ręki: skrzydła mutaliska.

Stworzenie wiło się, próbując strącić niechcianego pasażera. Gdy zerg wyładowywał swoją wściekłość rycząc w niebogłoty, protos dostrzegł w jego gardle błękitny blask. Od razu rozpoznał. Błysk kryształowej macierzy przekąźnikowej.

W jakiś sposób mutaliskowi udało się przedrzeć między przechwytywaczami i wśliznąć do tunelu lotniskowca. Choć zergi uważane były za bezmyślne stwory, ten wykazał się przebiegłością — lub żarłocznością — i połknął macierz krystaliczną.

Bez względu na powód, teraz nadarzyła się okazja, żeby odzyskać kryształ. Jeśli Iaalu wyrwie macierz zergowi z gardła, może uda mu się włączyć silniki „Koramunda” i zabrać okręt daleko stąd.

Lotniskowcem znowu zatrzęsło, tym razem z taką siłą, że i Iaalu, i mutalisk wpadli na koncentrator przekaźnikowy. Iaalu trzymał się mocno skrzydła, a wszystko wokół niego zaczęło wirować. Mutalisk obracał się i ryczał, wypuszczając salwy czerwów glewiowych, które przy akompaniamencie huków wrywały dziury w kadłubie. Do tunelu wpadło światło, nie blada poświata miliona gwiazd, lecz blask słońca.

Olśnionemu Iaalu wydawało się, że rozpoznaje rozmyte kształty kontynentów i oceanów w dole. „Koramund” musiał spadać przez chmury nad Vanassem. Katastrofa była nieunikniona.

Iaalu brakowało umiejętności walki zelotów, a jego nieużywane od wielu lat szpony dawno się stępiły. Posiadał jednak umysł inżyniera, biegły w ocenie sytuacji i poprawianiu jej przy użyciu dostępnych narzędzi. A chyba właśnie miał w ręce narzędzie, którego potrzebował.

Zwolnił chwyt jednej dłoni. Turbulencje atmosferyczne, które wstrząsnęły lotniskowcem, omal nie oderwały Iaalu od mutaliska. Protos złapał się jednak palcami za kości stwora i podciągnął, kopiąc w środkową sekcję paszczoogona.

Stwór zaskrzeczał i skierował kloakę na napastnika, zwieraczem już wypychał czerwia. Teraz, nieosłonięty przez skrzydła mutaliska, Iaalu nie miał, jak schować się przed tym plugastwem.

Było to celowe działanie. Puścił kość skrzydła i opadł tuż przed tym, jak czerw poleciał tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się protos.

Z okresu przygotowawczego Iaalu wiedział, że czerw glewiowy był niczym więcej, jak organicznym narzędziem. Jego jedynym życiowym celem było przebicie celu i rozerwanie go w eksplozji na kawałeczki. Stanowiło to zwieńczenie życia czerwia, po to właśnie stworzyły go zergi, udoskonalając jego cykl życiowy. Łono mutaliska genetycznie modyfikowało każdego czerwia tak, aby w momencie kolizji z celem osiągał pełną dojrzałość i zadawał maksymalne obrażenia.

Ten konkretny czerw pożył trochę dłużej niż powinien. Przelatując przez miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdował się Iaalu, rozwinął się w dojrzałą, jaskrawozieloną i gotową do detonacji postać, której jednak brakowało inteligencji, aby zlokalizować pierwotny cel i zmienić trajektorię lotu. Przebijając skrzydło mutaliska, czerw osiągnął następny, szmaragdowy etap dojrzałości a następnie zgniłozielony etap obumierania aż w końcu uderzył w podbrzusze latającego potwora.

Mutalisk otworzył szeroko wszystkie osiem oczu w piekielnej furii, gdy dotarł do niego czerw. Pozbawiona świadomości, mała organiczna maszyna, nie wiedziała, że wbiła się w swojego rodziciela. Spełniła swój cel życiowy – wybuchła i rozerwała zaatakowane stworzenie od paszczy do paszczy.

Eksplozja pchnęła Iaalu z powrotem na koncentrator przekaźnikowy. Wymachując rękami, owinął jeden z kabli wokół łokcia, żeby się nie odbić. Nie mógł jednak osłonić się przed fontanną krwi mutaliska. Żrący płyn wyłączył jego osłony i zaczął przeżerać kombinezon przeciwpromienny. Protos szybko odpiął przednią, zewnętrzną powłokę i zerwał ją, wykorzystując materiał, aby zetrzeć żrący szlam z hełmu.

Powitał go blady blask. Niczym błękitny karzeł, w konstelacji kropel krwi unosiła się macierz kryształowa.

Iaalu nieostroźnie sięgnął przez czerwoną mgiełkę. Kwas zaskwierczał na jego skórze i przedostał się do tkanek poniżej. Jego mięśnie zaczęły się gotować, ich komórki parowały. Ból był nie do zniesienia. *Uhn dara ma'nakai. Uhn dara ma'nakai.* Jeśli włączy silniki, nie będzie musiał długo cierpieć, zazna spokoju, zdeintegrowany przez zjonizowane cząsteczki.

Grawitacja przejęła kontrolę nad okrętem, który wpadł w korkociąg. Oceany zniknęły z pola widzenia i przez dziury w kadłubie Iaalu dostrzegł wierzchołki drzew bałeh. Miał niewiele czasu, lada moment „Koramund” się rozbije.

Uhn dara ma'nakai.

Zresetował czujniki ciśnienia, marząc o wzgórzach Shreka, których kształt zawsze dostrzegał w krzywiznach lotniskowca. Podłączył przekaźniki do kryształu według tego samego, ośmiokątnego wzoru, który wykorzystywał do podłączania przekaźników przechwytywaczy. Zamocował i zablokował główny przewód zasilający na środku macierzy. Wyszeptał mantrę, modląc się o tę znajomą, wyjątkową iskrę, która — miał nadzieję — nadal kryła się w przewodach.

Udało się. Kryształ zabłysł jasnyniebieskim światłem, gdy energia popłynęła przez ścieżki macierzy. Kilka sekund później silnik zaczął tętnić życiem. Iaalu z kolei wypatrywał nieuchronnej śmierci w deszczu jonów.

Deszczu, który nie nadszedł.

Bez ostrzeżenia przekaźniki zwolniły się, kolektor zawrzał i silnik zgasł, a macierz kryształowa pękła zasypując Iaalu nie jonami, lecz odłamkami.

Inżyniera rzuciło na płataninę kabli, kiedy „Koramund”, wielki cud protosów, spadł w korony drzew na powierzchni Vanassa i zmienił się znowu, ale tym razem w symbol ich wielkiej rozpacz.

Według nauk Khasa, światło — promienne, ożywcze i błogie światło — napełni tych, którzy dotarli do ostatniego etapu życia i rozpoczynają nowe.

Iaalu obudził się w ciemności. W ciemności i bólu. Straszliwym bólu.

Skóra mu pękała, gdy próbował się ruszyć. Owiewające go powietrze paliło niczym ogień. Jego prawa ręka pulsowała. Bolała go lewa stopa. Organy, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy, dały o sobie znać tęnym ćmieniem. Iaalu miał wrażenie, że smaży się od środka.

Było to wrażenie dalekie od błogich obietnic Khasa. Albo wpadł w Otchłań, albo...

Nadal żył?

Obrazy, wspomnienia, koszmary wróciły. Tunel. Mutalisk. Krew bestii.

Iaalu powinien już nie żyć.

Z jakiegoś powodu jednak nie umarł. Przeżył. Był pólnagi, bezbronny, poparzony kwasem, ale żywy.

Jak?

Hełm. Jego osłony uratowały mózg i sploty nerwowe przed stopieniem. Jednak to nie uratowałyby protosa przed...

Upadkiem. Nie powinien go przetrwać. W żadnych warunkach okręt spadający z orbity przy tak zabójczej prędkości nie mógłby przetrwać zderzenia z planetą. Nawet lotniskowiec tak wyjątkowy, jak „Koramund”. Statek i jego załoga powinni wyparować. Obrócić się w proch.

Powinni. Spopielenie byłoby o wiele łaskawszym losem niż to, co teraz znosił Iaalu, poparzony przez kwas i łaknący światła.

Wpatrywał się w ciemność, licząc że jego wzrok się dostosuje. Nawet najmniejszy promień światła podniósłby go na duchu i ulżył w cierpieniach. Światło stanowiło esencję życia protosów. To światło dawało im mądrość i energię. Dawało życie.

Panowała jednak zupełna ciemność. Wkrótce Iaalu oszaleje z pragnienia, o ile już nie oszalał.

Jego hełm – miał oświetlenie. Inżynier spróbował włączyć światła myślą. Holograficzny odczyt się nie pokazał, ale reflektory zamigotały i nie zgasły, a Iaalu chłonał każdy foton, jakby to była woda.

Zauważył, że jest zaplątany w kable na szczycie koncentratora przekaźnikowego, nad nim znajdował się tunel dostępowy silnika. Lotniskowiec odwrócił się podczas zderzenia i wyglądało na to, że jest w dobrym stanie. Grube gałęzie baleh przebiły poszycie, ich wierzchołki dotykały drabiny.

Czyżby drzewa w jakiś sposób złągodziły upadek? Czy może Iaalu miał halucynacje?

Sięgnął umysłem, szukając w Khali śladów czyjejkolwiek obecności. Choć jego zdolności psioniczne były ograniczone i dodatkowo stępione przez ból, oszacowanie w przybliżeniu ogólnego stanu załogi powinno się udać.

Nie czuł nic. Nawet echa. Ani szeptu. Ani pierwotnego tchnienia życia. W Khali panowała cisza i mrok.

Jego serca zamarły. Może jest jedynym ocalałym.

Leżał rozważając swój los godzinami, dniami – w jego stanie ciężko mu było ocenić. Mógłby tak leżeć, aż śmierć by po niego nie wróciła, ale poczuł mrowienie.

Było tak delikatne, że niemal go nie zauważył. Biegło wzdłuż lewego ramienia, spoczywającego na głównym łączu zasilającym. Rytmiczny puls, który nie bolał ani nie palił jak kwas.

Impulsy. Przez łącze biegły impulsy. Słabe i słabnące. Ale biegły. Na linii było zasilanie. Iskra „Koramunda” nie zgasła. Jeszcze nie.

Iaalu musiał coś zrobić. Kochał „Koramunda”, jak nic innego na świecie. Lotniskowiec dał mu karierę i szansę, aby stać się częścią legendy. Być może protosowi udałoby się ocalić okręt – nie pozwoliłby, aby zarosły go drzewa baleh lub grzybnia skazicieli, które na pewno się tu zagnieźdzą. Może gdzieś na okręcie znajdzie sposób na uruchomienie silników. Miał obowiązek wobec statku i załogi – o ile ktokolwiek przetrwał – choćby nie wiadomo, jak nikła była szansa powodzenia.

Z wysiłkiem wyplątał się z kabli. Gdy się wyprostował, opadły z niego płaty złuszczonej skóry, odsłaniając delikatną, świeżą tkanę. Lecz kiedy ścisnął łącze i poczuł bicie serca „Koramunda”, zapomniał o słabościach.

Chwycił się gałęzi drzewa baleh i zaczął wspinać w górę tunelu.

Silna grawitacja Vanassa sprawiła, że wspinaczka była niemal nie do zniesienia. Protos nie mógł poszybować ani odbić się we właściwym kierunku, jak na orbicie. Musiał się podciągać na szczeblach drabiny i gałęziach. Szorstka kora raniła mu poparzone dłonie. Skóra Iaalu pękała i odpadała bardziej, gdy sięgał wyżej. Nie chciał patrzeć, wiedział, że kwas pozbawił go tkanek wierzchnich i odsłonił mięśnie.

Uhn dara ma'nakai, pomyślał nieświadomie. Instynktownie. *Uhn dara ma'nakai*.

Przypomniał sobie, jak pierwszy raz usłyszał te słowa. Wypowiedział je Rimmiku, templariusz, któremu pomagał w pierwszym okresie swojej służby. Zerglingi nie tylko zabrały Rimmiku cały oddział, ale również kończyny. Jednak templariusz nie pozwolił, aby okaleczenie przeszkodziło mu w wypełnieniu obowiązku. Okiełznał ból, ukształtował w siłę i pokierował latającą platformą, stworzoną przez Iaalu z części przechwytywaczy.

Uhn dara ma'nakai. Rimmiku pokładał tak wielką wiarę w te słowa, że sprzeciwiając się dowództwu wrócił na pole walki, gdzie stracił niemal wszystko. W akcie zemsty wytropił i zabił wszystkie insektoidy, które stanęły mu na drodze, aż znalazł śmierć w paszczy królowej zergów.

Uhn dara ma'nakai. „Nasza misja nie ma końca” – zwyczaj intonować Rimmiku.

Iaalu brakowało i dyscypliny, i wytrzymałości templariusza. Nie potrafił przekuć swojego cierpienia w broń. Jako inżynier posiadał inne umiejętności. Jego talent wiązał się z narzędziami, nie bronią, dlatego Iaalu musiał inaczej radzić sobie z bólem. Musiał okiełznać

go i wykorzystać, jako narzędzie motywacji, które pomoże zrealizować cel. Narzędzie, które przypomni, jakie laalu ma szczęście, że czuje ból i żyje.

Dotarł do rozwidlenia tunelu i dźwignął się na krawędzi. Gdy znów stanął pewnie, zatrzymał się, aby odpocząć, lecz tylko chwilę.

Upadek okrętu sprawił, że ta część tunelu leżała poziomo. Inżynier nie musiał się już wspinać, mógł iść. A raczej powoli utykać. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, nie był zdolny do szybszego marszu.

Kiedy otworzył właz, laalu pożałował, że w ogóle ruszył się z miejsca.

Ciała i ich zwęglone części leżały rozrzucone po korytarzach. Głowy, korpusy, kończyny, wszystkie w różnym stopniu okaleczenia. Wielu z poległych było przyjaciółmi laalu, jego bliskimi przyjaciółmi, jego martwymi przyjaciółmi, ocalałymi z katastrofy, lecz nie z tego, co nadeszło po niej.

To sprawka zergów. Ślady ich kłów i szponów pozostały na wszystkim, czego insektoidy nie pożarły. Kończyny i wyrostki były przybite do ścian igłokolcami. Zwrócone organy nosiły ślady soków trawiennych. Wyglądało na to, że zergi upodobały sobie zewnętrzne, przypominające włosy włókna nerwowe, może nawet stanowiły one przysmak, gdyż zostały wyrwane z każdej protoskiej czaszki, którą laalu widział.

Niespokojnie splótł własne nerwowłosy. Barbarzyństwo zergów wyjaśniało, dlaczego nie poczuł nawet echa śmierci towarzyszy z załogi. Ich umysły zostały oddzielone od Khali. Modlił się, aby szybko zaznali spokoju i błogosławieństwa w nowym życiu.

Co kilka zakrętów wśród ciał znajdował ścierwo zerglinga, noszące ślady porażenia psionicznego lub brutalnych ciosów młotokleszczami. Stworzenia te były odrażające – raniły jego poczucie estetyki. Sierpowate wyrostki na ich karkach wyglądały, jakby zostały

urwane innemu stworzeniu i niezdarnie przymocowane do obcego gatunku. Oczywiście na tym polegała mutacja zergów: na łączeniu najohydniejszych cech różnych gatunków w coś jeszcze okropniejszego. Zerglingi były koronnym przykładem tej wynaturzonej ewolucji. Iaalu przyprawiało to o mdłości.

Nie wiedział, gdzie udała się reszta stada zerglingów. Najprawdopodobniej opuściły okręt po wykończeniu załogi. A przynajmniej taką Iaalu miał nadzieję. Wątpił, aby mógł pokonać zerglinga, szczególnie w tym stanie.

Najbardziej jednak niepokoiło go, że wśród martwych nie widział ani jednego członka kasty templariuszy. Wszyscy polegli byli khalaitami – inżynierami, sanitariuszami i mechanikami – którzy najprawdopodobniej musieli bronić się sami. To, że udało im się zabić tyle zerglingów, świadczyło o odwadze i sprawności. Opór towarzyszy w obliczu tak przeważających sił wroga pogłębił determinację inżyniera, mocniej zapragnął podnieść „Karamunda” z powierzchni Vanassa. Inni protosi powinni dowiedzieć się o bohaterstwie prostych członków załogi.

Nie dbał natomiast, czy templariusze zostaną zapamiętani. Przysięgali strzec khalaitów, jednak nie istniał nawet cień dowodu na to, że brali udział w obronie swoich braci i przyjaciół.

Przepełniony gniewem, Iaalu kuśtykając skierował się ku komnatom medytacyjnym.

Miękki korzeń sammuro stłumił kroki Iaalu. Pokład został nim wyściełany, aby przechodzący nie rozpraszała zelotów i templariuszy podczas medytacji w komnatach na dole. Gdy nie wzywano ich do walki lub powiązanych z nią obowiązków, templariusze gromadzili się w tej części lotniskowca, aby ćwiczyć, odpoczywać i dostrajać ciała i umysły do Khali.

Zapewne tutaj zginęła większość z nich.

Za szybko Iaalu poddał w wątpliwość oddanie templariuszy. Główny korytarz prowadzący do komór medytacyjnych kończył się rozdartą grodzią, pod gruzami której leżał zmiażdżony zelota. Przyległe przejścia były zniszczone w podobny sposób. Zergi nie tylko uszkodziły silniki lotniskowca, ale również zniszczyły poziomy mieszczące zastępy protoskich wojowników.

Wyglądało to na coś więcej niż udaną zasadzkę zergów. Wewnętrzny układ każdego z lotniskowców był inny i odzwierciedlał wyobraźnię projektantów. To, że skaziciele tak precyzyjnie namierzyły komnaty medytacyjne, świadczyło, że zergi posiadały dogłębną wiedzę o „Koramundzie”. Czyżby ktoś z załogi przekazał im te informacje?

Iaalu nie wiedział, co implikują jego podejrzenia, ale nie podobało mu się, że je ma. Był inżynierem, jego zadanie polegało na rozwiązywaniu problemów ze skomplikowanymi układami i wadliwymi przewodami, a nie demaskowaniu nikczemnych knowań zergów. Żle ocenił templariuszy. Może jego obawy świadczyły, że traci zmysły. Albo były oznaką poczucia winy, że jako jedyny przetrwał. Emocjonalną traumą po okropieństwach, które widział.

Iaalu położył dłoń na odsłoniętym przewodzie, szukając oparcia. Anemiczny puls urządzeń dodał mu otuchy. Nie był sam. „Koramund” przetrwał. Tak mówiło Iaalu bicie serca okrętu.

Ale gdzie znajdowało się to serce? Ta wyjątkowa, życiodajna iskra? Gdyby udało mu się ją znaleźć, być może wiedziałyby, jak naprawić silniki.

Rozłożył palce i skupił się na tym, co wyczuwał. Impulsy zdawały się biec do przekaźnika. Przesuwając dłoń po przewodzie, inżynier skierował się w przeciwnym kierunku, ku źródłu.

Jego umysł uspokoił się, gdy przewód zniknął w głównym hangarze. Ból również

zmałał. Choć źródło impulsu leżało dalej, w głębi okrętu, Iaalu przystanął, aby rozejrzeć się po hangarze – jego hangarze – być może po raz ostatni.

Znał każdy zakamarek tego miejsca, każde narzędzie na każdej ścianie, każde zadrapanie na każdym panelu i każdą z metod dokręcania śrub i wkrętów. Bez patrzenia potrafił wybrać właściwy rozmiar klucza fazowego spośród tysięcy znajdujących się w jego stole warsztatowym i wiedział, jak dokładnie zacisnąć wąż doprowadzający, aby zaoszczędzić miejsce, i jak podwoić pojemność zbiorników z paliwem.

Kwaterna Iaalu znajdowała się na pokładzie koszar, ale to hangar był jego domem. To tutaj inżynier spędzał większość czasu, gdy nie spał, budując i naprawiając swoje oczka w głowie, legendarne przechwytywacze „Koramunda”, które teraz dokowały w kołyskach, lśniące i wspaniałe, dokładnie takie, jak je zostawił.

Oderwał palce od przewodu. Zamknął oczy. Czyżby śnił? Oczyszczył umysł i spojrzał ponownie.

Wszystkie przechwytywacze były zacumowane z podłączonymi kablami zasilającymi i nie posiadały nawet wgniecenia.

Nic się nie zgadzało. Zupełnie nic. Przechwytywacze zostały zniszczone, tak powiedziała mu Tenzaal, kiedy Iaalu wspinał się w tunelu dostępowym. Nawet jeśli jednemu lub dwu jakimś cudem udało się przebić przez siły zergów i wrócić na lotniskowiec, nie byłoby jak przywrócić ich do idealnego stanu, nie bez zasobów i załogi.

Nie bez niego.

Powłóczę nogami podszedł do jednego z przechwytywaczy, tego, którego nazwał „N'rithaa”, swoją „małą strzałą”. Położył dłoń na dziale plazmowym. Chłód metalu podziałał kojąco na oparzenia.

Dopiero wtedy zobaczył ciała i przekonał się, że to nie sen.

Nie mógł znieść widoku ich twarzy, choć rozpoznawał przyjaciół nawet bez patrzenia. Yaiino, Wotarra i Palmet, młodszy inżynierowie, którzy służyli pod nim z największym poświęceniem i profesjonalizmem. I Sacopo, wojowniczy, porywczy Sacopo, który był o sto lat starszy od Iaalu i zostałby awansowany na trzeciego inżyniera, gdyby nie drobne nieporozumienia z Tenzaal. Jego pucułowate ciało zwisało nad konsolą sterującą, a jego włosy leżały mu u stóp i wyglądały niczym sterta martwych robaków. Na czaszce Sacopo miał pojedynczą, wypaloną ranę.

Iaalu skierował wzrok na pozostałe ciała, na twarze, których widoku unikał. Ich głowy nosiły te same rany — głębokie, wypalone dziury po przebiciu czaszki na wylot. Brak śladów krwi.

Zergi nigdy nie były tak czyste. Taką precyzją mogło się poszczycić tylko ostrze psioniczne.

Ponownie rozejrzał się po hangarze i pożałował, że zostawił włączone światła hełmu. Reflektory wychwyciły z mroku trzy węzowe stworzenia wypełzające z tunelu, z którego przed chwilą wyszedł Iaalu. Hydraliski zauważyły go i zasyczały, rozwierając płyty karapaksu w gotowości do wystrzelenia igłokolców.

Iaalu wyłączył światła i schował się za „N'rithaa”. Kolce świsnęły i wbiły się w kadłub przechwytywacza obok.

Chowanie się za „N'rithaa” nie wystarczy na długo. Co gorsza Iaalu mógł ledwie chodzić, o ucieczkę nie warto było nawet myśleć. Narzędzia, które najbardziej przydałyby się w walce, klucze psioniczne, wisiały na ścianie po drugiej stronie hangaru. Nawet, gdyby udało mu się je dostać, za nic w Otchłani nie zdążyłby porazić wszystkich trzech hydralisków. Musiał znaleźć silniejszą broń, inaczej zginie.

„N'rithaa”. Przechwytywacz stał beczynnym. Jego zimny metal błagał o rozgrzanie.

Iaalu odłączył kable zasilające i pociągnął za dźwignię awaryjną na spodzie. Chociaż

„N'rithaa” nie mogła wystartować bez bezpośrednich komend z mostka „Koramunda”, działa były aktywowane przez niezależny obwód sterujący uzbrojeniem, który inżynier sam zamontował. To właśnie ta zdolność przechwytywacza do prowadzenia ognia, nawet gdy wróg zakłóci sygnał z dowództwa lub zniszczy komputer pokładowy, sprawiła, że został nazwany „małą strzałą”.

Gdy hydrauliczki zbliżyły się do przechwytywacza, namierzyły je czujniki celownicze „N'rithaa”. Utykając Iaalu opuścił hangar przy akompaniamencie wrzasków i odgłosów skwierczenia zergów zasypanych deszczem plazmy.

Przewód zaprowadził Iaalu do centralnego rdzenia lotniskowca, ku drzwiom, do których nigdy nie śmiał się zbliżyć. Zostały wyrzeźbione z drzewa kwai-leh, rosnącego w dawnych czasach na Aiur. Drewno to było najrzadszym i najcenniejszym surowcem od czasów upadku planety. Płaskorzeźby na drzwiach przedstawiały idylliczne sceny przypominające szczęśliwsze, prostsze czasy na długo przed nastaniem wojen. Nie było ani uchwytów, ani zamka — przejść mogli tędy tylko ci, którzy znali specjalną, mentalną komendę.

Były to drzwi prowadzące do kwater pretorki Quordas. Gdy ona się do nich zbliżała, same się przed nią otwierały.

Iaalu wiedział, że jako khalaita nie miał tutaj wstępu. Jednak z tych pomieszczeń biegł impuls. Inżynier wyczuwał go za przejściem, we wnętrzu, gdzie...

Ujrzał coś, czego nigdy nie spodziewałby się zobaczyć.

Dwóch protosów, zwartych w uścisku, wpadło na drzwi. Jednym z nich była Tenzaal, której śmierć, przysiągłby, słyszał w Khali, a drugim...

— Pretorka Quordas?

Zatoczył się. To nie był uścisk. To była pierwotna walka i Tenzaal zdobywała przewagę. Włączyła ostrze psioniczne, jego światło potwierdziło to, czego potwierdzenia Iaalu nie mógł znaleźć w Khali: jej przeciwnikiem istotnie była Quordas, otaczana wciąż przywódczyni „Koramunda”, choć rany cięte zniszczyły niegdyś szlachetne oblicze, a prześwitujące zza skóry kości znaczyły miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się długie, piękne nerwowłosy.

— Tenzaal, cóż czynisz.... — Iaalu ledwo mógł zebrać myśli, jego umysł zamarł w niedowierzaniu.

— Głupi khalaito! Powinieneś być zginąć! – ryknęła Tenzall i zatopiła broń w brzuchu pretorki.

Quordas wybałuszyła oczy, skóra jej pociemniała, ostrze psioniczne wysysało z niej wewnętrzne światło. Nie krzyknęła, gdy upadała. Utrata nerwów oznaczała, że jej śmierć nie będzie słyszalna w Khali, co oszczędzi Iaalu miazdzącego umysł echa, które niewątpliwie wzbudziłaby ta agonía.

Nie uchroniło go to jednak przed szokiem. Morderstwo to stanowiło niewyobrażalną zbrodnię. Tenzaal była templariuszką, jednym z najbardziej zaufanych poruczników Quordas. Zmierzała ku temu, aby zostać któregoś dnia pretorką.

Tenzaal okazała się zdrajczynią.

— Błagam, khalaito, oszczędź mi swoich ograniczonych myśli. — Templariuszka skierowała ostrze na Iaalu. — Padnij przede mną na kolana, a szybko zakończę twoje życie.

Nagły chrapliwy syk za nim ułatwił Iaalu decyzję.

Zanurkował do kwater pretorki, pierwszy raz w życiu wdzięczny za zergi. Igłokolce przecięły powietrze i sięgnęły Tenzaal. W przeciwieństwie do Quordas, jej krzyk był słyszalny w Khali.

W przeciwieństwie do Quordas przeżyła.

Krzywiąc się od jej krzyku, Iaalu podziwiał zarazem, jak pancierz zdrajczyni ugiął się, ale wytrzymał trafienie, wzmocniony jej energią psioniczną. W obrocie przyjęła siłę wystrzelonych kolców. Włączyła ponownie ostrze psioniczne i odwróciła się do poranionego plazmą hydaliska w przejściu. Musiał przetrwać salwę z przechwytywacza.

— Przybłęda. Posłałam was do lasu na śmierć.

Płyty na karapaksie hydaliska rozwarły się w gotowości do kolejnego ataku. Tenzaal skoczyła. W nawałnicy uderzeń sparowała lub zniszczyła każdy z kolców i wylądowała za stworem, odcinając jedno z jego brzytworamion.

Zakradającemu się w cień w Iaalu niemal zrobiło się żal zerga. Niemal.

— Uhn dara ma'nakai.

Zatrzymał się. Tym razem nie pomyślał mantry. Pochodziła od innego umysłu.

— Uhn dara ma'nakai.

Pretorka Quordas patrzyła na niego. W jej oczach nadal tliło się światło, niczym błysk kryształowego amuletu w ręku, przez który przekazywała myśli.

Iaalu wiedział, że wysocy rangą członkowie kasty templariuszy nosili przy sobie amulety, które służyły za soczewki ogniskujące ich psyche. Amulety te zawsze składały się z rzadkich i olśniewających kryształów khaydarinowych, artefaktów starożytnych xel'naga i symboli godnych templariuszy. Khaydarinowy kryształ Quordas był niewielki, podłużny, o wyszczerbionych krawędziach i mglisto-szklistej barwie. Na pierwszy rzut oka nie robił wrażenia, nie nadawał się na naszyjnik, zapewne nikt nawet by się nie schylił, gdyby go znalazł. Jednak Iaalu nie mógł oderwać od niego wzroku. Choć amulet świecił blado, błyskał w znanym mu rytmie. Tym samym, który czuł w przewodach, gdy tu siedł.

Ten mętny, nijaki kryształ musiał być iskrą lotniskowca. Quordas trzymała serce „Koramunda”.

— Uhn dara... ma'nakai — jej umysł szeptał do niego, a potem światło w jej oczach zgasło. Śmierć zwolniła uścisk jej palców. Amulet upadł i potoczył się w kierunku Iaalu.

— Tylko tknij tego kryształu, a umrzesz śmiercią tak bolesną, że jej wspomnienie będzie nawiedzać cię w następnym życiu. —Tenzaal popatrzyła na Iaalu. Wyprostowała się nad cielskiem hydaliska i ostatni raz wbiła ostrze psioniczne w czaszkę stworzenia.

Inżynier odpowiedział jej spojrzeniem pozbawionym strachu. Tenzaal nie mogła sprawić mu większego cierpienia niż to, którego już zaznał.

Sięgnął po amulet.

Tenzaal zeskoczyła ze zwłok zerga. Pchana siłownikami pancerza energetycznego i kierowana swoją siłą psioniczną, popędziła na Iaalu niemal z szybkością myśli.

Gdy wylądowała, już go nie było.

Kryształ khaydarinowy go ożywił. Dodał mu siły, szybkości. Sprawił, że Iaalu poczuł się... *oświecony*.

W mgnieniu oka przeszedł przez właz i dotarł do rozwidlenia tunelu oświetlając sobie drogę blaskiem amuletu, aż ujrzał...

Las.

Czubki drzew baleh kiełkowały i kwitły bez słońca i bez wody. Gałęzie przecinały tunel wzdłuż i w poprzek. Roślinność tutaj była tak gęsta, że Iaalu nie widział koncentratora przekaźnikowego. Ledwo udało mu się znaleźć drabinę.

Zabiję cię, zabiję cię, zabiję cię.

Myśli Tenzaal ścigały go, kłuły tak przenikliwie, jakby rzeczywiście mogły zabić. Zbliżała się. Chwycił się szczebla i zaczął schodzić po drabinie.

Nie dotarł daleko. W nerwowłosa z wielką siłą uderzyła go gałąź. Odepchnął ją, ale wokół nogi owinęły mu się korzenie, a kolejny konar rozwarł listowie niczym paszczę, złapał protosa za ramię i ściągnął z drabiny.

Iaalu zawisł uwięziony przez drzewo baleh. Kolejne gałęzie sięgnęły ku niemu – ku temu, co trzymał.

Chciały zabrać mu kryształ khaydarinowy.

Zaczął się szarpać, ale korzenie tylko zacisnęły się mocniej. Z otworów w gałęzi wypłynęła ohydna maź. Część kapnęła na jego tors. Parzyła, jak... *krew mutaliska?*

Zergi musiały opanować i zmutować genom drzewa baleh. Choć były bezmyślnymi stworzeniami, wiedziały, czym jest i co potrafi kryształ khaydarinowy.

Z całych sił zacisnął obie ręce na amulecie. Zergi będą musiały rozerwać Iaalu na strzępy, żeby dostać kryształ.

Zabić, zabić, zabić ...

Tenzaal ruszyła w dół po drabinie oczyszczając sobie drogę ostrzami psionicznymi. Korzenie i gałęzie cofnęły się przed ciosami. Nagle Iaalu był wolny.

I spadał. Spadał w kierunku koncentratora przekaźnikowego. Gałęzie baleh cofnęły się i teraz go dostrzegał.

— O nie, nie pozwolę ci.

Tenzaal złapała go za stopę i rzuciła o ścianę. Uderzył z głuchym chrupotem i osunął się w dół.

Uderzenie powinno go zabić. Zabiłoby każdego innego khalaitę. Ale w ciągu ostatnich kilku godzin, lub dni, Iaalu przetrwał gorsze rzeczy. O wiele gorsze. I jeśli czegoś się nauczył, to jak przyjmować ciosy. Kryształ nie był mu do tego potrzebny.

Podniósł się i chwiejnie ruszył ku koncentratorowi przekaźnikowemu. Chwytał osiem kabli oraz główny przewód zasilający, kiedy Tenzaal wylądowała po drugiej stronie.

Stała naprzeciwko niego z ognistym spojrzeniem i włączonymi ostrzami psionicznymi, ale nie zaatakowała. Zamiast tego, w jej kierunku zaczęły zlatywać się wolne jony z całego tunelu. Przyzywała moc dostępną wyłącznie templariuszom — burzę psioniczną, która unicestwi nie tylko Iaalu, ale również tunel oraz większość lotniskowca.

— Dlaczego to robisz? — Iaalu próbował grać na zwłokę. Starał się jak najszybciej podłączyć macierz. Choć kryształ khaydarinowy był nierówny i chropowaty, idealnie przylegał do końcówek przewodu, jak dopasowany. — Jesteś jedną z mrocznych?

— Mrocznych templariuszy? Czy widzisz, żebym odcięła sobie nerwy? — Nimb wokół niej rozjaśniał od energii. — Nie, khalaito, nie wyczuwasz mojego umysłu, ukrywam go bowiem przed tobą. Ale teraz już nie ma takiej potrzeby. Proszę. Pozwolę ci spojrzeć.

Uwolniła myśli nawałnicą, która uderzyła w umysł Iaalu z taką siłą, aż zadrżał. Nie wstrzymywała się. Ujawniła każdy szczegół swej zdrady, od odkrycia roju zergów na Vanassie, poprzez fałszywe wezwanie o pomoc i otwarty właz wentylacyjny, aż po śmierć protosów, do której doprowadziła. Wszystko łączyło się w logiczny ciąg i niczym ostrze ukłuło Iaalu w serca.

— Ty... ty chcesz zniszczyć „Koramunda”.

Energia psioniczna wędrowała wzdłuż kończyn tenmplariuszki. Za kilka chwil

Tenzaal zbierze dość mocy, aby zabić Iaalu siłą umysłu.

— Żyjemy w erze konfliktu, khalaito. „Koramund” i pozostałe lotniskowce jego klasy to relikty niefortunnej przeszłości. To nieefektywne, pozbawione uzbrojenia molochy, które okradają flotę z cennych zasobów i personelu oraz narażają templariuszy na niepotrzebne ryzyko. Zergi stoczyły z lotniskowcami tyle bitew, że znają na pamięć plany okrętów, wszystkie słabości, każdą skazę. Nasza porażka na Vanassie, jak wiele innych niedawno, po raz kolejny dowiedzie, że wiedza zergów o naszych statkach stała się niemal instynktowna, mają ją w genach.

— Dlatego pozwolisz im go zniszczyć?

— Nasz lud tego odmawia, khalaito! A te sentymety zagrażają nam na tej wojnie. Marnotrawimy bezcenny czas rozpamiętując przeszłość, a powinniśmy się szykować na przyszłość. Skoro inni nie potrafią pozbyć się przywiązania do tych starzejących się, ociężałych wraków, ktoś musi wkroczyć i przeciąć za nich tę pępowinę.

Iaalu niemal wypuścił z rąk siódmy kabel, który właśnie podłączał. Próbował zrozumieć. Czy w jej szaleństwie była metoda? Czy on, jak wielu protosów, pozwolił, aby sentymety dla „Koramunda” i jego dziedzictwa przysłaniały mu to, co racjonalnie konieczne do wygrania wojny?

Ostatni kabel lgnął do kryształu niczym magnes. Ale Iaalu nie pozwalał im się zetknąć.

— Jeśli to było twoim celem, dlaczego posłałaś mnie do naprawy silników? — zapytał.

— Musiałam cię odesłać z dala od przechwytywaczy. Podejrzywałam, że wdrożyłeś w nie własne rozwiązania, a to mogłoby pokrzyżować mi plany. Nie spodziewałam się jednak, że naprawisz okręt i ocalisz go przed zniszczeniem. Utrudniłeś mi zadanie, khalaito.

— A ty zabiłaś mój zespół.

— To zło konieczne — pomyślała z przekonaniem i bez cienia żalu. Wokół Tenzaal tańczyła energia, jednak w oczach pozostał jedynie mrok.

Iaalu nie musiał być templariuszem, aby wiedzieć, że „zło konieczne” to nie metoda Khasa.

Pretorka Quordas, Yaiino, Wotarra, Palmet, Sacopo i reszta załogi służyli z honorem przez całą karierę. Nie zasługiwali na los, który ich spotkał.

— Jesteś morderczynią.

Parsknęła w myślach. Jony zaczęły wirować wokół jej kończyn, ciała, nerwowłosów.

— Kiedy wojna dobiegnie końca, sukcesorzy zapamiętają mnie jako zbawczynię.

Wyciągnęła rękę i Iaalu poczuł, jak wokół rozpętuje się burza. Ogarniała go jak czarna dziura, która próbuje wyssać z niego światło. Przyłożył amulet pretorki mocno do piersi.

Uhn dara ma'nakai.

Z całych sił przycisnął główny przewód zasilający do kryształu. Jeśli to zadziała, eksplozja światła włączy silniki, a „Koramund” wystrzeli z Vanassa. A zarówno Iaalu, jak i Tenzaal obrócą się w pył.

Nic się jednak nie stało.

Tenzaal zaśmiała się pogardliwie.

— Ty ślepy, żałosny khalaito. Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci tak po prostu włączyć silniki? Popatrz na amulet.

Khaydarinowy kryształ był ciemny. Bez pulsu. Martwy.

— Okręt nigdzie nie poleci. „Koramund” jest stary i zmęczony, jego iskra umarła. — Wokół Tenzaal zawirował cyklon energii, jej płonące oczy były jedynym dowodem, że stoi za tym żywa istota. — I już nigdy, przenigdy nie ujrzy gwiazd.

Ze wściekłym wrzaskiem Tenzaal rozpętała burzę. Iaalu w bezruchu pomodlił się o błogosławieństwo, które przyobiecał Khas.

Ciemność.

— *Co... co zrobiłeś?*

Nie była to jego myśl. Przekaz był ostry, drażnił umysł.

Musiał zmrużyć oczy przytłoczony jaskrawym blaskiem. Było to coś pięknego, przywodziło na myśl światłość, która towarzyszyła protosom całe życie i rozkwitała na nowo w chwili narodzin. Jasność wypływała z kabli przekaźnikowych w arterie na ścianach. Pierścienie czujników mrugały. Kolektor syczał. W całym tunelu szumiało. To nie było tylko światło, lecz czysta moc.

Silniki „Koramunda” rozgrzewały się.

To kryształ. Kryształ khaydarinowy. Cóż za cud. To niewielkie, nieoszlifowane brzydactwo. Musiał wchłonąć energię psioniczną burzy i na nowo obudzić w sobie iskłę. Choć światło bijące od amuletu oślepiało, Iaalu czuł jego przyspieszający puls we własnej piersi i w każdej kończynie. Tętno przybierało na sile, niczym w reanimowanym sercu.

— Głupi khalaito.... Skazałeś nas na zagładę.

Od światła odcinał się cień, w którym Iaalu rozpoznał Tenzaal. Upadła na kolana. Jej

ostrza psioniczne skwierczały. Pancierz się rozpadał. Jej skóra pękała. Krzyknęła, ale głos zdawał się odległym echem, jakby templariuszka znajdowała się w innej galaktyce. Umysł Iaalu pozostał jednak czysty. Błogo czysty.

Wyciągnął ku niej dłoń. Kim był, aby oceniać Tenzaal? Choć wyrządziła wiele zła, cierpiała. Nadal była jedną z nich. Protosem. Potrzebującym światła. Światła, które Iaalu mógł jej dać.

— Nie... zostaw mnie. — Tenzaal odwróciła wzrok od niego, od jego światła, jakby stanowiło antytezę jej istnienia. Zamiast chwycić Iaalu za rękę, pozwoliła, aby jej ciało uschło, ostrza psioniczne zgasły, a umysł powoli pogrążył się w ciemności.

Mimo światła Iaalu nie był w stanie jej ocalić. Ta wojna zwróciła protosów nie tylko przeciw zergom i terranom, lecz także przeciw sobie.

Prochy Tenzaal utworzyły mały kopczyk na odłamkach kryształu. Iaalu niemal ich nie dostrzegł, ponieważ nie odbijały światła. Ale znał ich obły kształt tak dobrze, jak samego siebie. Odłamki kryształu khaydarinowego. Teraz ciemne, matowe, mętne.

Z powrotem położył ręce na piersi. Przekąźnikami płynęło światło, energia, ale wewnątrz nie było widać amuletu. Były tam jedynie...

Jego serca.

Bicie jego serc pasowało do pulsu silnika. A raczej jego tętno było tętnem okrętu. Może od początku czuł właśnie ten rytm.

Gdy w stanie błogości przeszedł w inny cykl życia, światło ujawniło, że to on — Iaalu z plemienia Furinax ze Wzgórz Shreka, trzeci inżynier „Koramunda” — był iskrą okrętu.

Uhn dara ma'nakai.

„Koramund” – protosi nazwali lotniskowiec „wielkim cudem” w tej klasie okrętów. I tym właśnie był – wielkim cudem, który podniósł się z powierzchni Vanassa bez dowódcy i załogi. Jego opływowy kadłub lśnił, silniki płonęły, a w sercu niósł ku gwiazdom pamięć dawnej Aiur.